

i jako wikariusz przy parafii pw. Matki Boskiej Śnieżnej zajął się głównie pracą z młodzieżą oraz posługą religijną dla Ukraińców obrządku grekokatolickiego, po zdelegalizowaniu ich Cerkwi. Władze lwowskie zorientowały się, że mają do czynienia z niezwykle operatywnym młodym księdzem postanowiły się go pozbyć i zażądały od ks. Olszańskiego opuszczenia miasta sugerując, że powinien wyjechać na tereny Ukrainy Wschodniej, gdzie czekają na kapłana katolicy obrządku łacińskiego.

I tak w 1948 r. ks. Olszański wrócił do Gródka Podolskiego. 80% mieszkańców tego miasteczka stanowili Polacy, posługujący się w codziennym życiu, wprawdzie archaicznym, Kochanowskiego i Sienkiewicza przypominającym, ale jednak językiem polskim, co sprawiało, że mimo „nękających” starań władz (nocne napady „nieznanych sprawców”, kradzieże i pobicia, wysokie podatki nakładane na parafię określane cynicznie „dobrowolnymi”) nie przemożyły wzajemnej solidarności wiernych i ich kapłana.

Mimo braku kościoła (całkowicie zniszczonego przez Sowieców) toczyło się normalne życie parafialne – katechizacja dzieci i młodzieży, chrzciny, komunie, śluby i pogrzeby. Skupiało się ono przy kaplicy cmentarnej, odrestaurowanej i wyposażonej staraniem wiernych – na co władze pozwalały, uważając, że na ostatnią posługę można wierzącym ostatecznie pozwolić.

Ksiądz Olszański nie poprzestał na pracy w Gródku. Organizował wyprawy do odległych nieraz o 100 i 200 kilometrów parafii pozbawionych zupełnie księży.

Kiedy rozmawiałem z biskupem w Kamieńcu w zeszłym roku opowiadał mi historię niemal zupełnie nieprawdopodobną, godną obrazu czy filmu. Otóż w pewnej miejscowości przez trzy dni i noce w kaplicy cmentarnej (wiedząc, że nieprędko znów się tu pojawi jakikolwiek kapłan) spowiadał, udzielał chrztu, ślubów i komunii. Niewątpliwie trwające przez całe doby bez przerwy spowiadanie musiało być katogą, ale już udzielanie sakramentu chrztu kilkuset jednocześnie osobom, zarówno dzieciom jak i dorosłym, miało wymiar apostołski, przypominający dzieła św. św. Wojciecha, Brunona, Jacka i musiało być wydarzeniem radosnym.

Nie w smak władzom politycznym była działalność księdza. Jednak opieka miejscowej ludności i litościwa Opatrzność Boska sprawiły, że mimo wielokrotnych pobic ksiądz zawsze wracał do zdrowia i do pracy. A zarzuty działalności antypaństwowej i indoktrynacji młodzieży umiejętnie wyciszał i wygaszał. Bez końca trwać to jednak nie mogło. Doszło do tego, że miejscowa sekretarz tow. Szczerbata powiedziała na konferencji partyjnej „albo on – albo ja”.

Ksiądz Jan Olszański w 1951 r. został zesłany na głuchą prowincję do kolchozu Manikowce.

Podczas wiosennych i jesiennych roztopów w ogóle nie można było stamtąd nigdzie się wydostać. Najbliższe zaś miasteczko było oddalone o 100 kilometrów.

Odprawianie mszy, jak zwykle w cmentarnej kapliczce, odbywało się o najdziwniejszych porach. Bowiem miejscowy kolchoz protestował przeciwko mszom porannym, gdyż „odciągały ludność od wyjścia do pracy”,

a wieczorne „przeszkadzały w zapewnieniu ludziom spokoju i odpoczynku po dniu pracy”.

A ksiądz Jan pracował niestrudzenie. Wychowanek jego i parafianin Stanisław Nagórniak wyremontował stary samochód i tym objeżdżali wspólnie rejon południowej Ukrainy o wielkości równej połowie Polski, od wsi do wsi, od miasteczka do miasteczka, od cmentarza do cmentarza, docierając do skupisk ludności polskiej od dawna już zapomnianych, chociaż witających księdza nieraz polską poezją: „Smutni strapieni, wciąż Boga błagamy, gdyż od lat wielu kapłana nie mamy”.

Co szczególne, a w realiach Związku Sowieckiego tak dalece dziwne, że nawet same władze zadziwiły się, że ksiądz Jan Olszański poza licznymi i dotkliwymi karami pieniężnymi i upomnieniami, przesiedleniami, nigdy nie był karany.

Mimo wojny, mimo stalinowskich represji, walki z Kościołem i programową, systematyczną depolonizacją – ksiądz Jan trwał na posterunku i nie poddawał się, nie wątpił, tylko pracował. Aż wreszcie przyszedł rok 1991.

Pobyt w Manikowcach skończył się z chwilą reaktywowania przez Jana Pawła II struktur Kościoła łacińskiego na Ukrainie, po rozpadzie ZSRR.

16 stycznia 1991 r. Jan Olszański został mianowany biskupem wskrzeszonej do życia diecezji kamieniecko-podolskiej. Sakrę biskupią przyjął 3 marca w Bazylice Metropolitalnej we Lwowie. Terytorium diecezji obejmowało nie tylko dawny historyczny obszar, ale nadto całą południowo-wschodnią Ukrainę z Krymem i Zagłębiem Donieckim, a więc obszar równy niemal terytorium Polski.

Mimo postępującej choroby biskup rzucił się w wir pracy duszpastrskiej. Przede wszystkim trzeba było odtworzyć parafie, skupiać ludzi i remontować kościoły.

To, że dzisiaj w ponad stu parafiach Podola biją dzwony, że w odrestaurowanych kościołach zbierają się wierni, a liczne pielgrzymki polskie (również, a właściwie najczęściej ze Śląska) mają w Domach Pielgrzyma i plebaniach zapewnione noclegi i wyżywienie to przede wszystkim dzieło 10-letniej wyteżonej pracy biskupa Olszańskiego. To, że w samym Kamieńcu Podolskim znowu jaśnieje blaskiem katedra łacińska i ustawiona na tureckim minarecie figura Matki Boskiej rozświetlając historyczne pamiątki niegdyś świetności Rzeczypospolitej – to również dzieło biskupa Olszańskiego.

W roku 2002 coraz bardziej schorowanego biskupa Olszańskiego zastąpił o. Leon Dubrawski, nowy biskup kamieniecko-podolski.

Biskup Jan, już na emeryturze zmagający się z bólem, nadal jednak niestrudzenie, codziennie, już od 6 godziny rano, siadał w konfesjonale w katedrze i słuchał spowiedzi. W dniach, gdy byłem w Kamieńcu, zawsze stała pod konfesjonalem kolejka.

Widziałem też, niezwykle na początku trzeciego tysiąclecia, wieku komputerów, dyskotek i frywolnego stylu życia – jak przy drodze, którą szedł biskup Jan Olszański, ludzie klękali prosząc o błogosławieństwo.

Oni wiedzieli, że był to człowiek święty.

**Cześć Jego Pamięci! Requiescat in Pacem.**